

Rozmowa przeprowadzona przez Mariusza R. Sawę 5.10.2003 r.

- Na początek poproszę o kilka informacji o sobie.
- Urodziłem się 7 stycznia 1923 roku w Krasnem, pow. Zamość. Moimi rodzicami byli Jan i Marianna. Ojciec miał wcześniej żonę, która zmarła i kilkoro dzieci. Z drugiego małżeństwa byłem u ojca jedynakiem. Ukończyłem 6 klas, a po powrocie z łagru siódmą. W Krasnem zastała mnie wojna.
- Należał Pan do jakiejś organizacji?
- Pierwszą organizacją jaka powstała w Krasnem był ZWZ. W 1943 r. Komendant nazywał się Michał Mazurek ps. Wojdiłło, „Liść”. Później przeszliśmy do BCh. Mazurka rozstrzelał przed domem NKWD.
- Aresztowano mnie w nocy z 5 na 6 listopada 1944 roku, pierwszego ze wsi. Rozpoczęły się przesłuchania w Zamościu. Zostałem oskarżony o przygotowania do zbrojnego powstania. Połamano mi dwa palce. Siedziałem skuty na foteliku. Oprawca mówił: *Najpierw jeden. Żeby były jednakowe, to zrobię ci drugi.* Po kilku dniach przenieśli nas do koszar. Bojar dał mi tam różaniec. Myślał, że go zwalniam. Potem na ścianie przeczytałem wryte „Bojar Waław, 10 lat obozu”. Nawiasem mówiąc Bojara zastrzelili w Izbicy. 11 listopada mnie i dwóch kolegów z powiązanymi kablem rękoma i karabinami u szyi ganiali po mieście. Pokazywali „bandytów”. Na przesłuchaniach bito mnie: wyciorem od karabinu i pałą. Byłem skuty, klęczałem. Zadawali pytania. Dostałem kopa w brzuch i zemdlałem. Po odzyskaniu przytomności miałem ranę, wybito mi oko.
- Czy był proces?
- W grudniu miałem sprawę z tłumaczem. Przewodniczącym był major. Wśród dwóch pozostałych osób była kobieta. Powiedziałem im, że *wszystkie zarzuty jakie mi stawiacie są przeciwko władzy polskiej, a ja Polaka jeszcze nie widziałem, ani jak mnie aresztowali, ani sąd polski mnie nie sądził.* Odpowiedzieli: *Słusznie, ale my to robimy w ramach pomocy. Wasza władza jest w stadium organizacji. Jak się zorganizuje, to cię przekazemy władzy polskiej.* Po pięciu minutach przerwy sąd wydał wyrok: kara śmierci przez rozstrzelanie. W celi znalazłem wypisane na ścianie 16 nazwisk kolegów z konspiracji. Wszyscy dostali karę śmierci.
- I czekał Pan na wykonanie wyroku...
- Powiedziałem wtedy do Franciszka Szypuły: *człowiek nie był wolny od głupstw. Wojna jest brutalna. W czasie pokoju za zabicie drugiego – kara, prawda? W czasie wojny dają odznaczenie. Chwała. Czym więcej zabijesz, toś większy bohater. Rozwalą nas, długo trzymać nie będą. Za pokutę nie przyjmujemy posiłków.* Trzeciego dnia przed świtem wartownik otworzył okienko i mówi: *nie rozstrzelają was, dzisiaj wywiozą do Lwowa, bierzcie swój chleb. Śniadanie przyniosą, to najedzcie się, bo jeszcze będziecie wspominać ten areszt. Wywiozą was do Lwowa. Dzisiaj.* A był 11 grudnia 1944 r..
- Sprawdziło się?
- Po śniadaniu zabrali nas. Powiązali kablem ręce i nogi. Załadowali na ciężarówkę 5 aresztantów, 7 żołnierzy, 6 z nami na samochodzie. Na gołych dechach posadzali obok beczek. Był śnieg i mróz. We Lwowie wozili nas po więzieniach, ale nie było nigdzie miejsca. Trafiliśmy na Zamarstynowską. Miał nas badać lekarz, ale każdy był tak zdrętwiały, że nie mógł rozebrać się samodzielnie.
- Jak tam były warunki?

- Cela klitka, 3 m na 3, na środku wążutki stół przyśrubowany do podłogi i w rogu piec (jego ćwierć była w celi, a palenisko w korytarzu), obok ubikacja. Ludzi w tej celi! Jeden na drugim! Każdy zarośnięty, z błyszczącymi oczami, blady jak chory na tyfus. Wszyscy byli skazani na karę śmierci. Kładliśmy się spać razem, przewracaliśmy się na drugi bok razem. Zawsze ktoś musiał siedzieć na ubikacji. Jeden z pieca patrzył przez okno i mówił co się dzieje. Widzieliśmy jak wyprowadzają na rozstrzelanie. Jedzenie dawali nam w naczyniach, które ściągnęli chyba ze śmietnika. Posiłki piorun wie z czego. Pierwszy oddałem jakiemuś Polakowi. We Lwowie zamienili mi wyrok na 10 lat łagru. 22 stycznia 1945 r. przenieśli mnie do innej celi, w której było z pół tysiąca ludzi.

- Przenosili Pana do innych więzień?

- Byłem też na ul. Jankowskiej, w żydowskim getcie, a także na ul. Pełtewnej. Ponoć było tam 20 tys. więźniów. Ludzie w zimie nie mieścili się w kamienicach, więc spali na placu. Stamtąd formowano transporty do Rosji. Utrzymywaliśmy kontakty z Lwowiakami. Kombinowaliśmy jedzenie i drewno na opał. Niektórzy uciekali. Jedna z grup została zdemaskowana. Byłem tam do 8 września 1945 r., po czym wywieziono mnie do Rosji.

- Jak wyglądał transport?

- Do wagonów pakowano po kilkadziesiąt osób, tyle ile dało się upchnąć. Do jedzenia dawali śledzie i chleb. Za pierwszym razem nie dali wody. Ludzie nie mogli bez niej wytrzymać. Panował zaduch.

- Długo jechaliście?

- 5 października 1945 r. przywieźli nas do Jarosławia. Przez Rybińskie Morze trzy doby płynęliśmy do łagru. Nie dawano nam jeść. Barka zaczęła przeciekać. Nikt nie chciał pompować. Wszyscy byli zdesperowani, głodni i zmarznięci. Holownik zostawił nas na mieliźnie i odpłynął. Za jakiś czas wrócił z drugą barką i przetransportował na brzeg. Kilkanaście kilometrów pędzili nas na miejsce przeznaczenia: Biełosielska. Na bramie pisało: *Trud eto dieło czesti, dieło sławy, dieło dobrosti i gierojstwa.*

- Jak wyglądało powitanie w łagrze?

- Nie oddano nam rzeczy, które za pokwitowaniem przed wejściem na barkę zdaliśmy. W nocy pokradziono ludziom buty i ubrania. 8 października poszliśmy do pracy w lesie. Na oko, licząc po barakach, było tam 3-4 tys. ludzi. Po zimie w kwietniu 1946 r. do pracy wychodziło nas niecałe 200 osób... Reszta poszła do ziemi. Większej śmiertelności w następnych łagrach nigdy nie spotkałem. Trupów po parę fur co dzień wywozili. Wywoźący kontrolował każdego gołego, rozebranego trupa. Latem przebijał zaostrzoną lancą, dzidą, drutem, by się upewnić czy żywego czasem nie wywożą. W zimie jak człowiek zmarł, nie można było tego wbić w ciało, to siekierą czy młotkiem przebijał każdemu głowę. I kto tam kopał komu grób?! Latem wygrzebali jamę. Wywozili w zimie w śnieg, zwierzyna rozciągnęła, w lecie kości zgarnęli, błotem przygarnęli. Przez 10 lat nie widziałem cmentarza dla więźniów. Potem w skrzyni wywozili, z niej wyrzucali, by na drugiego się przydała.

- Ludzi niszczyła więc praca i choroby. Jakie było jedzenie?

- Kto nie wykonał normy, to dostawał mniejszą porcję chleba i nie dostawał dodatku w potrawie gotowanej. Jeśli przekroczył 100 %, to dostawał 15 dag dodatku chleba i szklanek krupniku, a jak wykonał 150 % normy, to dostawał 30 dag chleba więcej i 2 szklanki krupniku. Normalnie dawali 60 dag chleba, litr zupy, pół litra rano, pół litra wieczorem i 60 dag chleba. Należało 65 się, to 5 dag odliczali, by zrobić chlebny kwas, który nazywali drożdżami. Miało nas to chronić od szkorbutu. To była dla nich okazja, żeby chleba sobie ukręcić.

- Jak Pana organizm znosił takie warunki?

- Przed zsyłką ważyłem 78 kg, po tej zimie 42 kg. Jak człowiek zrobił przysiad, to nie mógł wstać. Dali nas do lekkiej pracy: odczyszczanie drogi ze śniegu, albo przydeptywanie śniegu, żeby roboczym brygadam było lepiej iść. Praca i wyżywienie były lepsze. Popadłem na lekarza Kamiennego. Z wielką sympatią odnosił się do Polaków. Tubylcy Polaków uważali. Mieliśmy opinię uczciwych, wszystko wiedzących i potrafiących. Inteligencja z powstań wyrobiła nam taką opinię. Ten doktor trzymał mnie przeszło 4 miesiące. Ważyłem już 56 kg.

- Długo był Pan w Biełosielsku?

- Po roku 1946 trafiłem do Abbakumowa, na przedmieścia Rybińska. Latem można było w Wołdze łowić ryby. Łagier był olbrzymi, ok. 20 tys. ludzi. Panowała przestępczość, tworzyły się bandy. Światła elektrycznego w łagrze nie było. Był on oświetlony tylko dookoła. Stara lokomotywa napędzała dynamo. A w środku, w barakach, konserwowa bańka i sznurek. Tam nalewało się ropy. Knot kopcił – *koptilka*. Każdy sadzą pluć po takim noclegu. Z Guściorami, kolegami ze Zwierzyńca, postanowiliśmy uciekać.

- Udało się?

- Zawróciliśmy zza pierwszego płotu, bo jak się zorientowali, że coś jest nie tak, to rozstawili gęstsze posterunki. Ktoś potem nas podkablował do naczelnika. Trafiłem do kamieniołomów.

- Jak się nazywał kolejny łagier?

- Rożnowo. Kamieniołomy. Zgiń, przepadnij! K... mać. Był to łagier *usilnogo reżima*. Siedzieli tam mordercy, albo ci którym też nie udało się uciec. Myśleli na początku, że mnie tam dali, bym ich szpiegował. Później dano mi spokój. W karnej brygadzie było czasem lepiej niż w zwykłej, bo wszyscy schodzili nam z drogi. Nigdy nie staliśmy w kolejce po jedzenie. Trzymałem się z Miską Ałomowem. Miał przydomek *Chramoj*, bo był kulawy. Pełnił funkcję starszego *naradczika* (coś jakby kapo w hitlerowskim obozie).

- Jak widać łagier miał swoje prawa.

- Panowało prawo pięści. Sprawy osobiste załatwialiśmy między sobą, żeby ktoś ci łba nie rozbił. Nie musisz zwracać się o sprawiedliwość do władzy. Jak się do niej zwracasz, to jesteś zdrajca. Takie jest obozowe prawo. Jak przyszedłem do siebie, to korzystałem z tego prawa i różnych dziadków brałem w opiekę. O niektórych, np. o prof. Żurawskim, opowiem później.

- Jak wyglądała praca?

- Była to *wykańczałowka*. Do tej brygady dawano ludzi, by się wykończyli. Aby uzyskać dostęp do kamienia, trzeba było wyrąbać krzaki. Potem podkładaliśmy dynamit i rozsadzaliśmy skały. Kamień trzeba było ciosać pod budowę dróg: drobny i pod wymiar. Tłukliśmy młotami. Dziennie musieliśmy zrobić 3 m sześciennie. Nie wyciosało się tego nigdy, jeśli nie zrobiło się fuchy. Trzeba było w środek sterty kamieni wsadzić głaz. Robota była cholernie ciężka. Ludzie wpadali w depresję. Narzędzia dostawaliśmy za bramą. Na stole z żerdzi leżały siekiery, kilofy, młoty. Wszystko było ponumerowane i przypisane każdej brygadzie. Podprowadzał brygadzysta. Po pracy ludzie składali wszystko z powrotem. Ktoś to doprowadzał do ład. Jeden z naszych w końcu mówi: *albo zginiemy wszyscy albo co...?* I zaczęli ucinąć sobie na tych stołach ręce. Parę osób. Ucinają siekierami, ciach! Wyprowadzała nas cała świta, naczelnik obozu. Jeden z więźniów wziął ucięte palce i kinał mu w gębę! Zawrócono na do łagru. Do roboty nie poszliśmy. Zjechał prokurator, zaczęło się śledztwo, wołają nas na rozmowy. Skarżymy się na samowolę, że nie dostajemy tego co nam się należy. Zmienili naczelnika. Zabrali mnie stamtąd i przewieźli w drugie miejsce, gdzie było łatwiej.

- Dokąd?

- Do Wołgohahu, który zajmował tyle powierzchni co całe województwo lubelskie. Potem trafiłem do Kimłahu. Pracowałem kilka miesięcy przy wyrębie lasu. Stamtąd przewieźli mnie do Dubrawłahu, gdzie łagry nie miały nazwy tylko numery. W Biełosielsku nie dawali prasy, a tam dawali lokalną prasę. Gazety były dwukartkowe. Wieszano je w witrynkach, po dwa egzemplarze. Kto był ciekawy, mógł sobie poczytać. Doczytałem się w artykuliku w lokalnej prasie, że tam gdzie jesteśmy jest rezerwat przyrody. Tereny były słabutko zamieszkałe, lasy potężne, klimat znośny, lato cieplejsze niż u nas tylko krótsze, klimat suchy kontynentalny. Pamiętam republiki: Czuwasze, Marwiej, Czeczenia.

- Docierały do Pana jakieś informacje ze świata?

- Na pocz. I. 50-tych w prasie i radiu odżyła sprawa Katynia. Komisja radziecka stwierdziła, że mord na polskich oficerach dokonali Niemcy. Siedział ze mną Białorusin z Gniezdowa. To była stacja kolejowa, na której wyładowywali więźniów, oficerów. Był rok starszy, spoufaliliśmy się. Przez jakiś okres byliśmy razem. Ja wierzyłem jemu, on wierzył mi. Mówi do mnie: *sluchaj, ja z Gniezdowa pochodzę, tamto zrobili nasi, niech nie pierożą, że to Niemcy. Ten las, miejsce zbrodni, Katyń, otoczyli strażami, nawieźli Azjatów, Uzbeków, Turkmenów, piorun wie co, po rusku prawie nie umieli, ludność nie miała tam wstępu. Zaczynają przywozić polskich oficerów, wagon, dwa co dzień i czasem samochodami a czasem pieszo ich gonią. Chodzi pogłoska, że obóz dla Polaków tam jest. Skończyły przyjeżdżać transporty, zdjęli wartę, jest tam ośrodek wczasowy dla Enkawudzistów w lesie. Nie ma obozu... To gdzie? Wyparował? Wyparowali ci ludzie? Przyszli Niemcy i zauważyli groby masowe, a na nich las rośnie. Ja nie widziałem konkretnie zbrodni, bo tam nie było wstępu, ale dzieci tam chodziły, to widziały, że tam nie było obozu. Na dzieci nie zwracali tak uwagi. Wyparowali ci ludzie? Mówili, że zrobili do nasi.*

- Miał Pan kontakt z tubylcami?

- Gdy nas żołnierz konwojował i pozwolił, to można było coś u nich kupić. Ludzie stali z mlekiem, z owocami. Obywatele Związku Radzieckiego dostawali paczki z domu. Był czas, że płacili nam za pracę. W miesiąc zarobiłem tyle, że mogłem sobie jeden posiłek kupić. W obozie był sklepik, ale była w nim tylko machorka. Czasami można było kupić kiszonej kapusty, chleba nie, bo chleb był na kartki.

- Pisał Pan listy do rodziny?

- W pierwszym obozie można było korespondować. Napisałem list do rodziców. Otrzymałem odpowiedź. Pisali, że są zdrowi. Ojciec starał się o moje uwolnienie. Dostał odpowiedź z ambasady w Moskwie, że istnieje możliwość ewakuacji. Było to w styczniu 1948 r.

- Czy po kilku latach spotkał Pan w łagrach kogoś znajomego?

- Z punktu do punktu przeczucali co parę miesięcy, żeby się towarzystwo mieszało. Ale spotykaliśmy się z tymi samymi ludźmi, tak jak z Guściorami. Porozdzielali nas, a potem znów się spotkaliśmy. Adam miał wyrok 10 lat, a Władek tylko 7. Ich łagodnie potraktowali, nie bili na przesłuchaniach. Władka po 7 latach zwolnili, ale nie miał prawa wyjazdu. Jak wychodzisz z łagru, to masz tam żyć, meldować się, dostajesz pracę. Dziewczyny nie miały partnerów. Wiele milionów ludzi zginęło, mężczyzn w kwiecie wieku, wiele poszło do łagru, do przemysłówki. Kobiety nie mają partnerów. Kiedy zwalniali z łagru, to panienki czatują, gdzie ty będziesz szedł, czego szukasz. Wychodzi Władek, a panienka go pod rękę: *ja mam mieszkanie, pracę, a ty pójdziesz człowieku do baraku?* Władek nie zastanawiał się i do Naści, bo Anastazja jej było na imię, poszedł. Za dziesięć miesięcy urodziła im się córka. On był stolarzem, więc im się lepiej powodziło. Robili meble na fuchę dla całego naczalstwa, nielegalnie. Z bratem byli artystami, stolarzami od konserwacji zabytkowych mebli. Tak Władek trafił na wolność, a my z Adamem ciągle siedzieliśmy w łagrze. Z Polakami trzymaliśmy się razem. Stawiali nas

za wzór. Mówili: *Polacy trzymają się razem, jeden za drugim*. Z krajów demokracji ludowej, ze strefy stalinowskiej nas było stosunkowo najmniej.

- Były to już lata 50.

- Przychodzi rok 1953. Umarł Stalin. Komunikują o tym. Wzywają mnie na komendę. Wchodzę: *Sadis. Jak się czujecie? Mówię: dzięki wam czuję się...* Oni: *A w Polsce by chcieli? Trzeba czekać, pojedziesz do Polski, takie postanowienie władz. Do roboty już nie pójdziesz*. Za parę dni komunikują, że w Mordowi jest zborny punkt, 11 lipca 1953 r.. Pisaliśmy do rodziny, ale nic nie przyszło. Siedzimy, znów czekamy. Rumunów odesłali pierwszych, Czechów następnych, potem Bułgarów. Ostali się sami Polacy. Nadszedł grudzień. Na Wigilię komunikat, że 3 stycznia odstawiają nas do Polski. To już pewne. Podzielili nas na grupy, po 60 do wagonu. Dali starszego, który ma nami kierować. Dotrzymali słowa. 3 stycznia 1954 r. otwiera się brama. Podstawione wagony, bydłące, prycze, piecyk żelazny, węgiel z węglarki można brać z parowozu bez ograniczeń. Posiłki będą wydawać w drodze. Warty już nie ma, są tylko opiekunowie.

- Jak wyglądał powrót?

- Jechało się długo. Zmieniali parowozy. Staliśmy w Moskwie parę godzin i na Białorusi w Orszy. Jest tam dworzec towarowy, ponoć największy w Związku Radzieckim. Można zgubić się w tych pociągach. Było 3 km torowiska. Pociągi jednakowe. Ostrzegali, żeby nie wychodzić. W Smoleńsku jeden nam się zgubił, bo wyszedł. Znaleźli go na drugi dzień. Wracaliśmy do Polski przez Gniezdowo. Ktoś powiedział: *będziemy przejeżdżać przez las katyński, wszyscy odkrywamy głowy i śpiewamy „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród”*. Opiekunowie usłyszeli śpiew: *co tam takiego się dzieje?* My na to: *tu Niemcy wymordowali naszych, tak ich uczymy*. Przywieźli nas do Brześcia.

- Wielu zesłańców wspomina o Brześciu i pierwszych w Polsce rozczarowaniach...

- W nocy wyładowali z pociągu. Na piechotę poszliśmy do granicy. Przejście, słupy graniczne, polscy wartownicy, kilku oficerów. Na podstawie dokumentów puszczają pojedynczo przez granicę. Kordon polskiego wojska... Chłopaki zaczęli żartować: *co? pilnujecie nas, byśmy nie wrócili do Rosji?* Ci nie odzywają się jak niemi... Pakują nas do autobusu, tam czterech żołnierzy z pepeszami, czterech z przodu, czterech z tyłu. Na przedzie jedzie ciężarówka z karabinem na dachu. Druga z karabinem maszynowym na dachu z tyłu za autobusami. I wiozą... Cholera, tam nas wieźli bez straży, a tu pilnują. Jakoś tak każdemu mina zrzędnęła. Zatrzymali się na bezludziu. Był z nami jeden chłopak. Opowiadał mi, że wywieźli go jako dziecko. Jego ojciec był oficerem i zginął gdzieś w czasie wojny. Matka uciekła na Wschód, on w międzyczasie podrośł, coś zwędził i posadzili go za kradzież do łagru. Zwolnili go razem z nami. Gdy zatrzymaliśmy się na tym bezludziu, by się załatwić, żołnierze nas obstawili. Było wielu więźniów, około 500, kilkadziesiąt kobiet, krępująca sytuacja. Ten młodzieniec zaczął płakać i mówi: *myślałem, że do wolnej Polski jadę, a tu pilnują mnie jak bandytę!* Jakiś oficer mówi do wszystkich: *pilnujemy was dla waszego bezpieczeństwa, są jeszcze takie elementy, z którymi nie należałoby się wam spotykać, a mogą wam zawrócić w głowach, zawieziemy was do Tomaszowa, a z Tomaszowa każdy z dokumentami zostanie zwolniony do domu*. I tak się stało. Wieźli nas szosą i widziałem swoją chałupę z szosy... Przywieźli nas w nocy do Tomaszowa.

- Dali chociaż jeść?

- Najpierw sfotografowali nas z profilu, pobrali odciski palców. Umyliśmy się w łaźni. Pierwszy posiłek w Polsce składał się z kapuśniaku, chleba (*brać według potrzeb*), i porcji kielbasy. Kielbasy nie jadłem prawie 10 lat. Nikt nie jadł. Po pół godzinie jej zabrakło.

- Jak odnosił się do was UB?

- Sierżant z bezpieki wydawał 2 prześcieradła, 2 koce. Chamelski prosił mnie, bym mu wziął. Popatrzył na mnie i mówi: *Stasiu, do zasranej Polski wróciliśmy, jak Boga kocham. Bezpieczniak!* Rano śledczy każdego bierze na przesłucha... na rozmowę. Mówi co wolno, co nie wolno. Potem jakiś kapitan przemówił ogólnie do wszystkich i jakiś cywil z Ministerstwa Pracy, Płac i Opieki Społecznej: *o tych rzeczach, gdzieście byli, coście robili nie rozmawiajcie.* Był wśród nas Kazimierz Krzyżanowski, starszy facet, po 70-ce, przyjaciel Sikorskiego z lat młodości, redaktor „Kuriera Lwowskiego” przed wojną. Brał udział w wojnie bolszewickiej, miał krzyż *Virtuti Militari*. Całą jego rodzinę w Wigilię 1939 roku deportowali w głąb Rosji. Sikorski po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych upomniał się o niego, zatrudnił go w polskiej ambasadzie w Moskwie. Krzyżanowski na słowa władzy powiedział: *nie wolno mi gadać? Ja będę trąbił na całą Polskę! Ile tam Polaków chce wrócić do kraju! Wy nie macie miejsca w Polsce dla Polaków? Nie wolno mi mówić?* Przyjaźniłem się z tym Krzyżanowskim, tak jak ze wszystkimi starszymi Polakami. Korespondowałem z nim do jego śmierci. Zawsze do mnie pisał. Dożywał w Krakowie przy siostrze.

- Z kim jeszcze się Pan przyjaźnił?

- Z prof. Żurawskim ze Lwowa, od geografii i historii. Ciekawa osobowość. Miał astmę. Robił nam na zamówienie wykłady z historii. *Co chcecie słyszeć? Kościuszko, Napoleon, Piłsudski...?* Nie posiłkował się żadnymi podręcznikami, żadnymi pomocami naukowymi, tylko tym co miał w głowie. Tyle tej historii się dowiedziałem! Nigdzie bym tego nie wyczytał.

- W Tomaszowie rozjechaliście się do domów?

- Z Tomaszowa do Bełżca na stację przywieźli nas jeszcze pod strażą: 50 mężczyzn i kobietę. Dostaliśmy pisemko, na podstawie którego mogliśmy przez tydzień korzystać bezpłatnie z komunikacji państwowej, z samochodów, pociągów. Dali 100 złotych na drogę, bochenek chleba, 1 kg kiełbasy. Najwięcej było Lwowiaków. Jechali do Wrocławia. Pojechali szukać rodzin; część znalazła. Niektórzy pojechali do Warszawy, inni do Grudziądza, a ja do Izbicy.

- Jak wyglądały Pańskie pierwsze spotkania z Polakami w ojczyźnie?

- Byliśmy jednakowo odziani w waciaki. Mówiliśmy gwarą po polsku, po rusku. Śmieli się ze mnie. Jak się nie używa języka rodzinnego, to on zanika. Nas między sobą to nie raziło, gadaliśmy jednakowo, rozumieliśmy się. Jakiś facet podchodzi do mnie i pyta: *jedzie pan do Izbicy?* Mówię, że tak. *Panie co wy jesteście za ludzie? Traktorzyści? Czy was zza Buga przywieźli? Gadacie po polsku, po rusku, jednakowo ubrani, takie smoluchy.*

- Wrócił Pan do Krasnego?

- Za parę godzin miałem być w domu. Jechałem z nadzieją, że kogoś w nim zastanę. Mama była chora. Może mamy nie zastanę, ale tatę tak. To był okaz zdrowia. Po północy byłem w Izbicy. Za te 100 złotych może ja jeden się nie upiłem w bufecie na dworcu. Chłopaczyska czego nie próbowali tam, to tu w bufecie mogli, wódkę, piwo. Od Zamościa do Izbicy szykowałem się do wyjścia. Bliżsi znajomi przychodzili się ze mną żegnać. Jeden jechał do Wrocławia. Myślę sobie, że mi w domu dadzą jeść, więc mówię: *bierz moją kiełbasę i mój chleb.* Nie wiem jak dojechał, nawet nie napisał, nie wiem czego. Przyjechałem, wysiadłem na Izbicy. Zawieja, zima ostra, śnieżna. Kolejarze wiedzieli, że my już jedziemy. Jeden nazywał się Majdan, z Tarnogóry, żonę miał z Krasnego: *czekaj! Gdzie w taką zamieć pójdziesz! Pogadamy!* Mówię: *człowieku, ja w gorszą zamieć chodziłem!* Do domu 3 km. Nie patrzę... Idę przez pola na przełaj. Dusi mnie jak to wspominam... Tyle lat... Jestem starym człowiekiem, ale przeżywam to... Tutaj gdzie jest dom sąsiada, było pole. Patrzę, że stoją budynki pobudowane już za Polski Ludowej. Tu drewniany dom. Miedze na polach są, więc kołchozu nie ma. Dochodzę do swojego obejścia: płoty

połamane, brama w stodole oberwana. Ojciec był przykładnym gospodarzem. Było lepiej, gorzej, ale porządek zawsze był w gospodarstwie. Coś tu nie tak... Myślę sobie, że może z jego zdrowiem źle... Idę do drzwi, a na nich napisane: *klasa IV i V*. Pewnie izbę wydzierżawili na szkołę, a w kuchni tata z mamą żyją. Pukam we drzwi. Głos: *kto tam?* Po tym „kto tam” poznałem Karolę. Była upośledzona, po służbach chodziła, samotna, starsza panna, nic nie posiadała, miała padaczkę. I taka myśl od razu: *mama nie żyje, a tata ożenił się z Karolą, bo co ona by u nas w domu robiła?* Mówię: *ja!* I „kołat!” – słyszę – szufrygę odsunęła. I ja za nią, ona do kuchni, ale tak prędko wbiegła na łóżko, widzę, że przestraszona, i nie ma nikogo, łóżko soi, ona sama. Żeby od czegoś zacząć, mówię: *Pochwalony!* Bo tak się kiedyś na wsi mówiło, jak się wchodziło do mieszkania. Odpowiedziała mi. Mówię: *a Bęcale tutaj nie mieszkają?* A ona mówi: *Panie! Bęcal na Błoniach mieszka, Broniek. To mój stryj. Ale, mówię, mnie o Bronka nie chodzi, mnie o Jaśka Bęcala.* A ona: *O, oni umarli już pięć lat temu, jedno za drugim, a syna wzięli Ruskie, zginął gdzieś w Rosji.* Dusi mnie jak to wspomnę... Mówię: *Karola to... to ja... ty mnie nie poznajesz?* Oj... Ja klęknałam... Oj Boże...! Ja gorzej przeżyłem ten powrót jak aresztowanie! Cały czas myślałem, że wrócę do kogoś, a tu do nikogo...! Z pół godziny rozmawiałem z Karolą, ale co będę z nią robił? Idę do stryja. Karola mówi, że jakoś tam będę żył. Pocieszała mnie. Nigdy bym się tego po tej kobiecie nie spodziewał, ona bez szkoły, bez majątku, chora, całe życie po służbach. Miała tyle serca i umiała człowieka pocieszyć. Idę do stryja, pukam: *Kto tam?* – *Ja.* A on: *ty Stachu?!* Boso wyleciał na śnieg. Nim się rozwidniło, to już pół wioski wiedziało, że przyjechałem. Odwiedzali mnie, męczyli, całą noc nie spałem. Wcześniej w Tomaszowie nie spałem całą noc, bo się z kolegami żegnałem. Mówili: *10 lat siedzieli razem, a potem jeszcze dobę stali i nie mogli się narozmawiać.* Ale taka jest prawda.

- Mocno wzruszający był Pański powrót do domu. Jak dawał Pan sobie radę w dalszym życiu?
- Ożeniłem się. Znaliliśmy się jeszcze wcześniej. Dziewczyna z jednej wioski, z ubogiej rodziny, miała 10 lat jak jej ojciec umarł. Taka mi się podobała, taką wziąłem. Uradziliśmy, że wesela nie będzie tylko ślub. Kto nam zrobi wesele? Powiadamiam najbliższą rodzinę. Miałem wuja ze Starego Zamościa – Wacława Mazurka, który grał w Orkiestrze Namysłowskiego na skrzypcach. Ja jego z rodziny najbardziej uważałem, a on mnie. Mówi: *Marynia* (bo tak matkę nazywali w rodzinie), *w grobie by się przewróciła, jakby mój siostrzeniec taki ślub brał. Powiadomię rodzinę, przyjedziemy z własnym prowiantem, a ja z Orkiestrą Namysłowskiego.* Takie mi wesele zrobili. Poszedłem do księdza uzgadniać ślub. Mówię: *proszę księdza, podobno jakieś koszty są z tym związane.* Ksiądz miał opinię zdzierusa. Popatrzył na mnie i mówi: *ja za ciebie może ze sto mszy odprawiłem. Matka dawała. Już zapłacone.*

- Jak odnosiła się do Pana władza?
- Patrzyła jak na wilka. Miałem zaległe podatki za te wszystkie lata. Po mojej prośbie do Cyrankiewicza umorzili je nie mi, ale stryjowi Stanisławowi Bęcalowi. Byłem w urzędzie, kłóciłem się, to zagrozili mi więzieniem. Odpartem: *wyśpię się przynajmniej, bo nie dosypiam.*

- Dziękuję za rozmowę.

Mariusz Radosław Sawa